

opusdei.org

Wspomnienie o bp. Alvaro del Portillo, Prałacie Opus Dei

Fragment książki Salvadora Bernala (Apostolicum, 2010). Z języka hiszpańskiego przełożył Bronisław Jakubowski.

05-09-2019

Wprowadzenie

1. Nieoczekiwane wezwanie od Boga

2. Chrześcijańska rodzina

3. Pierwsza młodość

4. Zainteresowania

5. Inżynier

WPROWADZENIE

23 marca 1994 roku o świcie, w Rzymie umarł biskup Álvaro del Portillo, Prałat Opus Dei. Wiadomość o tym zastała mnie w Madrycie kilka minut po dziewiątej rano. Kiedy dowiedziałem się o tym, byłem w trakcie pisania artykułu, który miałem dostarczyć madryckiemu dziennikowi przed piątą po południu. Pracowałem w pośpiechu, ale równocześnie budziły się we mnie te same wrażenia, jakich doznałem 26 czerwca 1975 roku, kiedy zmarł Św. Josemaría Escrivá de Balaguer. Pisałem nawet wówczas podobny tekst, jak stwierdziłem odnalazwszy własny publicystyczny komentarz sprzed prawie dwudziestu lat zatytułowany Convertir las lágrimas

en oración (Przemienić łązy w modlitwę).

„Dlatego to ogarnia taka żałość, gdy umiera przyjaciel, i taki mrok bólu, dlatego słodycz przemienia się w gorycz, serce tonie we łzach”[1], głosił w swoich «Wyznaniach» Św.

Augustyn, wielki znawca sprzeczności rozdzierających ludzkie serce, świadomy, że stworzenia nie są zdolne zaspokoić pragnienia szczęścia. Nie znalazłem lepszego sposobu na opisanie moich uczuć owego marcowego poranka. To wrażenie nasilało się, kiedy uświadomiłem sobie, że nie zobaczę już przyjemnej postaci człowieka, który umęczony niezliczonymi walkami, rozdawał miłość pełnymi rękami i nigdy nie przestał kochać jak młodzieniec.

Spędziłem u boku biskupa Álvaro wiele godzin od 1976 roku prawie do jego śmierci. Razem z innymi osobami towarzyszyłem mu wielokrotnie w

letnie wakacje, przy pracy i podczas wypoczynku, daleko od codziennych zajęć biskupa Álvaro w Rzymie. Dość często udawałem się też do Wiecznego Miasta, żeby zająć się zadaniami zlecanymi przez Prałata Opus Dei. Bardzo szybko poczułem potrzebę przedstawienia uprzejmej, ale zdecydowanej osoby biskupa Álvaro del Portillo, który za życia pragnął się ukryć a nawet zniknąć za Założycielem Opus Dei, którego był „najwierniejszym synem i następcą”, jak głosi przeznaczona do prywatnego odmawiania modlitwa o wstawiennictwo Sługi Bożego.

W październiku 1976 roku ujrzała światło dzienne moja książka Josemaría Escrivá de Balaguer, Szkic biografii Założyciela Opus Dei[2], która została szeroko rozpowszechniona. Dlatego przedstawiając obecnie książkę o biskupie Álvaro del Portillo pragnę przestrzec Czytelników, że próbuję

*opisać jego osobowość z pozycji
moich wspomnień i przeżyć,
oczywiście nie pomijając innych
obiektywnych faktów i danych. Moje
informacje skupiają się na
decydujących momentach życia
biskupa Álvaro i są inspirowane
wydarzeniami, których jestem
naocznym świadkiem, oraz na nich
oparte.*

Obowiązkowa wydaje mi się inna uwaga – te stronicie zakładają pewną znajomość historii Opus Dei i jego Założyciela. Podaję tylko niezbędne szczegóły, aby umiejscowić moją relację albo moje wrażenia. Kiedy jest to możliwe lub konieczne, osobiste wspomnienie jest uzupełniane wartościowymi świadectwami, kilkoma książkami lub oficjalnymi dokumentami albo też wreszcie wiadomościami autobiograficznymi pojawiającymi się – należy sprawiedliwie przyznać, że niezwykle rzadko – we pismach

samego biskupa Álvaro. Kiedy mówił o sobie samym, chodziło wyłącznie o poczucie humoru albo o sytuację, w których bez wzmianki o sobie byłoby mu trudniej starannie przedstawić konkretną cechę Założyciela. Z pewnością zaś ludzka i chrześcijańska, przyrodzona i heroiczna zarazem, cnota wierności stanowi kwintesencję życia Álvaro del Portillo.

Poza tym starałem się kierować ideą, której nauczyłem się od niego w sierpniu 1976 roku przy okazji zajmujących go wówczas prac historycznych. Pragnął ukazać jak Św. Josemaría Escrivá przeżywał coraz intensywniej cnoty teologalne i moralne na różnych etapach swojej ziemskiej wędrówki. Aby to osiągnąć, uważał za bardzo ważne opowiadać żywe fakty. Pragnął jednak również unikać niebezpieczeństwa, zwłaszcza dla tych, którzy dopiero co przyszedli do Opus Dei albo nie znali

osobiście Założyciela, ograniczenia się do anegdot, bez dotarcia do głębokiej świętości chrześcijańskiej odpowiedzi Św. Josemaríi.

Ta przestroga okazuje się niezbędna przy pisaniu o Álvaro del Portillo, dlatego że jego życie kierowało się charyzmatem normalności charakterystycznym dla skromnych osób, które osiągają szczyty doskonałości nie robiąc niczego dziwnego ani wyzywającego. Pewnej nocy w 1985 roku zapisałem w Solavieya (Asturia): „kolejny dzień, bardzo normalny pod każdym względem, o takim pogodnym wyrazie, pełen modlitwy i pracy, który przeżywa się obok biskupa Álvaro”. Otóż wcielał on w tak przykładowy sposób duchowość świecką Opus Dei, że u jego boku wydawał się nabierać życia tekst Św. Josemaríi Escrivy na temat Najświętszej Maryi Panny w książce To Chrystus przechodzi, 148: „Maryja uświęca to wszystko, błędnie

*przez niektórych uważane jako nie
wzniosłe i bez wartości: codzienne
zajęcia, małe szczegóły ważne jednak
dla osób przez nas kochanych,
rozmowy, odwiedziny krewnych lub
znajomych. Błogosławiona
codziennność, która tak bardzo może
być wypełniona miłością Boga!”*

*Kiedy przypominam sobie te sceny, w
których brał udział biskup Álvaro, w
mojej pamięci zlewają się autentyczne
idee: przyrodzona nadprzyrodzoność,
heroizm w życiu codziennym,
niezwykła normalność. Myślę
szczerze, że jego odpowiedź na łaskę
Bożą czyniła świętymi i Bożymi
zwykłe i normalne okoliczności
każdego dnia. Przekształcała
rzeczywiście – posługuję się słowami
Założyciela Opus Dei – codzienną
prozę w jedenastozgłoskowiec, w
poezję bohaterską. W jego
codziennym bytowaniu, w
najmniejszych rzeczach dały się
słyszeć echa wieczności. We*

wszystkim cechowała go głęboka skromność, która przejawiała się łagodnością i zapomnieniem o sobie samym. Raz jeszcze występował paradoks ludzi Bożych, którzy usiłują się skryć, żeby było widać tylko Jezusa (jest to również zdanie Św. Josemaría Escrivy). Dusze zaś odkrywają Boską ścieżkę ich niezwyklej pokory.

Minęło już trochę czasu od jego śmierci. Wśród tych, którzy go poznali, opinie są jednomyślne. Álvaro del Portillo był przede wszystkim wierny, był dobrym człowiekiem, pełnym miłości. Wyraził to skrótowo spontaniczny komentarz arcybiskupa Stanisława Dziwisza, sekretarza Sługi Bożego Jana Pawła II, kiedy dostał pierwsze obrazki z biskupem Álvaro del Portillo do prywatnego odmawiania, wydrukowane w języku polskim: „Jakże dobrym człowiekiem był Prałat!”

Zawsze będę pamiętał spokój i równowagę, w jakich żył i jakie rozsiewał wokoło, co było oczywistym dowodem jego zjednoczenia z Bogiem. Jednakże, przyglądając się już w jego dojrzałym życiu, tej dobroci i zrównoważeniu – jego niesamowitej pogodzie ducha – odważę się przypuszczać, że były one raczej konsekwencją ascetycznej walki, zwycięstwa woli i zrozumienia, posłusznych łasce Bożej nad pełnym energii charakterem niż owocem temperamentu. Starąłem się to pokazać na tych stronach. Biskup Álvaro był niezwykle wiernym człowiekiem pokoju, nawet wobec najpoważniejszych trudności, o uprzejmej, ale zdecydowanej osobowości, lojalnej i cierpliwej, wymagającej i mocnej, pełnej odwagi i śmiałości, wymagań wobec samego siebie i wyrozumiałości dla innych. Te cechy tworzą pozytywny obraz przykładnego pasterza na służbie Kościoła.

1. Nieoczekiwane wezwanie od Boga

Dnia 6 lipca 1993 roku przebywałem z don Álvaro, który niedawno przyjechał z Rzymu, żeby spędzić pewien okres w Hiszpanii. Było to w przeddzień pięćdziesiątej ósmej rocznicy dnia, kiedy poprosił o przyjęcie do Opus Dei. Kiedy wspomnieliśmy o tym, zareagował natychmiast, jak ktoś, kto dobrze przemyślał daną kwestię:

– Ileż to lat! Jakże obszerne sprawozdanie muszę przedstawić Naszemu Panu i Bogu! Musicie mi bardzo wiele pomóc!

Następnego ranka po odprawieniu Mszy świętej ponownie przypomnieliśmy niedzielę, 7 lipca 1935 roku, kiedy Álvaro uczestniczył w dniu skupienia w akademiku przy ulicy Ferraz (Madryt), organizowanym przez Św. Josemarię Escrivá. Álvaro nie przypominał

sobie dokładnie o której godzinie poprosił o przyjęcie do Opus Dei, ale pamiętał, że było to po drugim porannym rozważaniu (w owym czasie, podczas comiesięcznych dni skupienia Założyciel prowadził trzy rozważania rano i dwa po południu). Z humorem komentował, że przez pomyłkę powiedziano mu, że może wstąpić do Dzieła, ponieważ Św. Josemaría powiedział, żeby poczekać do popołudnia... Tymczasem jednak „wygłosił rozważanie o miłości do Boga i o miłości do Maryi i zupełnie zgłupiałem”.

Zazwyczaj niewiele więcej opowiadał o tym nowym niepokoju, jaki posiał w jego duszy Duch Święty. Niepokój ten, jak dodawał, sprawił, że rozpoczął swoje *prawdziwe* życie. Pewnego razu przyznał, że nic nie kazało mu przeczuwać ani w lipcu 1935 roku, ani w poprzednich miesiącach, że Pan bardzo szybko powoła go do Opus Dei. Został

wychowany w atmosferze chrześcijańskiej, prawie codziennie przyjmował Komunię świętą i codziennie odmawiał różaniec, jednakże nie był człowiekiem skłaniającym się ku stowarzyszeniom pobożnym ani kościelnym organizacjom. Podsumowywał ten proces jako „historię ufnej i wytrwałej modlitwy naszego Założyciela, który przez cztery lata, nie znając mnie nawet, modlił się, żeby Pan udzielił mi tak wielkiej łaski – największego daru po wierze, jaki mógł mi ofiarować – tylko dlatego że jedna z moich ciotek kiedyś mu o mnie mówiła”.

Mowa tutaj o Carmen del Portillo, która była dodatkowo matką chrzestną biskupa Álvaro. Mieszkała ze swoją siostrą Pilar w tym samym budynku przy ulicy Conde de Aranda w Madrycie, gdzie znajdowało się domowe ognisko Álvaro. Obie niezamężne, głęboko wierzące

chrześcijanki, posiadały w swoim mieszkaniu prywatną kaplicę, z pięknymi rzeźbami przedstawiającymi Św. Józefa i Niepokalane Poczęcie NMP.

Angażowały się w różne dzieła miłosierdzia a zwłaszcza pomagały w inicjatywach zakładu dobroczynnego dla chorych, organizacji Damy Apostolskie. Były w częstym kontakcie z O. José María Rubio SJ, beatyfikowanym w 1985 roku, tak bardzo związanym z fundacją Luz Rodríguez Casanova. Wkrótce poznały również ks. Josemaría Escrivá, kapelana kościoła zakładu dobroczynnego dla chorych, i opowiadały mu o swoim siostrzeńcu. Od tego czasu zaczął się za niego modlić.

Jednak Álvaro prawdopodobnie poznał Założyciela Opus Dei nie za pośrednictwem swoich ciotek, tylko Manuela Péreza Sáncheza, kolegi ze Szkoły Inżynierów Drogownictwa w

Madrycie. Manolo[3], który studiował o kilka lat wyżej, umożliwił współpracę Álvaro przy działaniach pomocy społecznej, w których uczestniczyli studenci tej szkoły oraz Szkoły Architektury będący członkami Konferencji Stowarzyszenia Św. Wincentego à Paulo.

Kiedy Álvaro zainteresował się tą apostolską inicjatywą, Manolo przedstawił mu ogólne założenia a konkretnie, że w parafii Św. Rajmunda (Puente de Vallecas) istnieje konferencja, do której należy trochę osób dorosłych oraz pięciu lub sześciu studentów. Mieściła się w budynku o nazwie „Akacja”. Aby wprowadzić nowe tempo pracy, utworzono inną konferencję, do której należała tylko młodzież. Według Guillermo Gesta de Piquer należącego do tej grupy, parafia Św. Rajmunda znajdowała się w dzielnicy składającej się z niemal

runder zbudowanych z blachy i tektury. Konferencja Stowarzyszenia Św. Wincentego udzielała mieszkańcom różnej pomocy – jałmużny w gotówce, bonów żywnościowych wymiennych w sklepach, lekarstw, pomocy medycznej.

Po rozmowie z Manolo Álvaro zaczął uczestniczyć w spotkaniach organizowanych w soboty po południu w Centralnym Domu Konferencji przy ulicy Verónica. Po krótkim czytaniu duchowym przedstawiano osiągnięte rezultaty i potrzeby dostrzeżone podczas wizyt odbytych w poprzedzającym tygodniu. Następnie rozważano szczegółowo środki konieczne do udzielenia pomocy osobom lub rodzinom, które miano odwiedzać w najbliższych dniach. Zawsze chodzono po dwóch. Bardzo często Álvaro i Manolo chodzili razem,

dlatego że było im łatwo umówić się w Szkole Drogownictwa:

– Od pierwszej chwili – przypomina sobie Manuel Pérez Sánchez – stwierdziłem poświęcenie Álvaro tym zadaniom. W ich wykonywaniu wyróżniał się swoją miłością i współczuciem dla dzieci.

W grupie tej byli Ángel Vegas, Alfredo Piquer, Guillermo Gesta de Piquer i jego brat, Bł. Jesús Gesta de Piquer, męczennik z 1936 roku. Uczestniczyli również – dane pochodzą od Ángela Vegasa Péreza – Carlos Valdés Ruiz, César Granda, Florencio Caballero, José María y Alfonso Chico de Guzmán, markiz de Campillo oraz jego kuzyn Rafael Moreno. Byli to studenci różnych kierunków. Prowadzili swoją pracę w najbardziej oddalonych osiedlach Madrytu, wśród ludzi, którzy mieszkali w nieludzkich warunkach i

często w klimacie wrogim
Kościołowi.

Ángel Vegas Pérez, który był
wykładowcą na Wydziale Nauk
Politycznych i Ekonomicznych
Uniwersytetu Centralnego w
Madrycie[4] wspomina przyjaźnie tę
grupę pełną niepokojów duchowych
i ludzkich. Mówi też, że Álvaro del
Portillo zaskakiwał go:

– Miał duży autorytet jako człowiek i
pod względem intelektualnym. Był
prawdziwym wzorem w działalności,
którą prowadziliśmy wśród ludzi
potrzebujących. Mówię, że mnie
zaskakiwał, dlatego że był jednym z
najwybitniejszych studentów tej
Szkoły a równocześnie był
towarzyskim i prostym człowiekiem
– bardzo inteligentnym, wesołym,
wykształconym, sympatycznym,
uprzejmym a przede wszystkim, co
najbardziej przyciągało moją uwagę,
bardzo skromnym, o nadzwyczajnej

skromności, która pozostawiała ślad (...), ślad przyjaźni, dobroci, Miłości Bożej.

Oczywiście warunki zewnętrzne nie były zupełnie sielankowe.

Dowiedziałem się o tym pod koniec lat pięćdziesiątych za pośrednictwem Mercedes Santamaría, która przez wiele lat była zatrudniona w domu państwa del Portillo w Madrycie.

Poznałem ją w jej domu w La Granja de San Ildefonso (prowincja Segowia). Była wówczas zupełnie siwa i miała wielkopańskie maniery. Była matką Carmen Fernández, którą z kolei uczyła moja matka, nauczycielka w La Granja. Carmen pracowała w domu moich rodziców w Madrycie do dnia swojego ślubu. Wiele lat później pani Mercedes, wiedząc, że jestem członkiem Opus Dei, rozmawiała ze mną z ogromną czułością o don Álvaro, „który teraz pracuje w Rzymie, przy Papieżu”, powtarzała, pokazując z dumą

zdjęcie, na którym pojawiał się obok Bł. Jana XXIII i Św. Josemaríi Escrivy.

Mercedes zachowała z lat trzydziestych piękne wspomnienia o don Álvaro. Jednym z najlepiej zapamiętanych była historia, kiedy pewnej niedzieli przyszedł do domu z okazałą raną w głowie i marynarką przesiąkniętą krwią. Sprawdziłem w różnych źródłach, że to zdarzenie miało miejsce 4 lutego 1934 roku. Jego rodzice wyszli i żeby nie niepokoić młodszego rodzeństwa powiedział po prostu, że upadł. Uznała to za prawdopodobne, dlatego że tego dnia w Madrycie padał śnieg. Jednakże widząc wielkość rany, zaprowadziła go na pogotowie przy ulicy Claudio Coello.

Lekarstwo mogło okazać się gorsze od choroby. Mercedes podejrzewała to od razu, dlatego że sanitariusz, który go przyjmował, zastosował na ranę, bez dodatkowych środków

ostrożności jakiś środek z tuby, którą nosił otwartą w kieszeni. Faktycznie zakaził ranę i Álvaro przez pewien czas miał wysoką gorączkę.

Codziennie chodził do lekarza na dezynfekcję rany, co musiało być bolesne, ale się nie skarżył.

Álvaro nadal nie mówił wiele na temat tego, co się stało. Wreszcie rodzina dowiedziała się, że przyczyną wszystkiego był napad, jakiego ofiarą padł on i jego przyjaciele chodzący na katechezę w parafii Św. Rajmunda. Owej niedzieli grupa około piętnastu osób czekała na nich, żeby dać im wycisk. Było to wcześniej ukartowane, dlatego że na balkonach znajdowali się ludzie przygotowani na widowisko. Álvaro otrzymał niezwykle silny cios w kark, zadany kluczem francuskim. Innemu koledze praktycznie urwano ucho. „Całe szczęście, że niedaleko było wejście do metra”, opowiadał pewnego razu don Álvaro w Manili,

w 1987 roku. „Schroniliśmy się tam w chwili, kiedy nadjeżdżał pociąg. Wsiedliśmy, drzwi się zamknęły i odjechalismy”.

Bóg posłużył się hojnością Álvaro na rzecz ubogich w tych skrajnych dzielnicach Madrytu, żeby poprowadzić go drogą ku Opus Dei. Pewnego dnia 1935 roku Álvaro zauważył, że trzech czy czterech kolegów o czymś między sobą rozmawia. Zainteresowało go to i zapytał, o czym mówią. Wyjaśnili mu, że o księdzu Josemaríi Escrivie i o prowadzonej przez niego pracy apostołskiej. Poprosił wówczas, żeby przedstawili go księdzu Escrivie. Po latach Manuel Pérez Sánchez umiejscowił dokładnie scenę w ówczesnym Madrycie. Kierowali się w stronę Arroyo del Abroñigal, żeby odwiedzić pewną opuszczoną rodzinę i przechodzili przez pola pszenicy i jęczmienia w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się osiedle

Barrio de la Estrella. Na tym właśnie polu Manuel Pérez opowiadał Álvaro o Założycielu Opus Dei – *Ojcu*, jak go po prostu nazywano, i zaprosił go na spotkanie z księdzem.

Do tego czasu Álvaro prowadził dobre życie chrześcijańskie, ale nie miał regularnego kontaktu z księżmi ani nie zauważył żadnego znaku ewentualnego wezwania od Boga. Pierwsze spotkanie ze Św. Josemarią wywarło na nim głębokie wrażenie, co wspominał w Rzymie w 1975 roku:

– Zapytał mnie natychmiast: „Jak się nazywasz? Jesteś siostrzeńcem Carmen del Portillo?” Była to moja matka chrzestna, siostra mojego ojca, która zmarła w bardzo późnej starości i wiele pomagała Ojcu, kiedy odwiedzał chorych z najuboższych dzielnic Madrytu. A dlatego że była nie tylko moją ciotką, ale również matką chrzestną, powiedziała Ojcu,

że ma bardzo bystrego siostrzeńca. Dlatego Ojciec przypomniał sobie o mnie i o pewnej sprawie, o której opowiadała moja matka chrzestna. Mówiła, że kiedy byłem mały, bardzo lubiłem banany, ale widocznie nie umiałem prawidłowo wymawiać tego słowa i mówiłem *nabany*. Dlatego Ojciec dodał: „w takim razie to ty jesteś tym chłopakiem, który bardzo lubił *nabany*?”

Przy okazji tej anegdotki, podczas tej bardzo krótkiej rozmowy, która trwała zaledwie pięć minut, Álvaro uświadomił sobie, że Założyciel Opus Dei traktuje go poważnie, i wyczuł bijącą od niego wielką sympatię. Szczerze wyraził pragnienie odbycia spokojniejszej i dłuższej rozmowy. Wyciągnął kalendarz i umówili się cztery czy pięć dni później. Jednakże, kiedy Álvaro przyszedł w umówione miejsce, Założyciela nie było.

– Wykiwał mnie – opowiadał z rozbawieniem wiele lat później. – Widocznie wezwano go do konającego. Nie mógł zaś mnie zawiadomić, dlatego że nie zostawiłem mu mojego numeru telefonu.

Jednak obraz owego młodego księdza wyrył się w duszy Álvaro. Po długim czasie, kiedy zakończył już rok akademicki 1934/35, zdecydował się ponownie go odwiedzić. Pragnął pożegnać go przed udaniem się na wakacje.

– Przyjął mnie i rozmawialiśmy spokojnie o wielu sprawach. Później powiedział: jutro mamy dzień skupienia – była to sobota – może przyjdiesz, zanim wyjedziesz na wakacje? Nie odważyłem się odmówić, chociaż niezbyt mnie to ucieszyło, bo nie wiedziałem, o co chodzi.

Podczas dnia skupienia w akademiku przy ulicy Ferraz Álvaro zobaczył wyraźnie Boże wezwanie, którego się nie spodziewał i zdecydował się związać swoje życie z Opus Dei. Założyciel wyjaśnił mu, że powinien napisać kilka słów. Z pewnością wówczas po raz pierwszy zwrócił się do Św. Josemaríi słowami: *kochany Ojciec*.

– Napisałem cztery linijki – opowiadał wiele lat później – zredagowane w inżynierskim stylu. Stwierdziłem, że poznałem ducha Dzieła i pragnę prosić o przyjęcie. Coś w tym rodzaju.

Trzy miesiące wcześniej, 11 marca, Álvaro ukończył 21 lat.

Pomimo wyczerpania Założyciela w owych dniach 1935 roku, poświęcił on Álvaro sporo godzin na formację w podstawowych kwestiach związanych z duchem Opus Dei. Jako że Álvaro nie uczestniczył w

zajęciach formacyjnych
prowadzonych przez Św. Josemarię
dla młodzieży, ten ostatni
zorganizował kurs tylko dla niego
tak, żeby od razu poznał podstawowe
elementy tego planu.

Ze swej strony Álvaro odłożył wyjazd
na wakacje. W okolicach sierpnia
spotkał się ze swoimi rodzicami i
rodzeństwem w La Granja, podczas
gdy Założyciel nadal przebywał w
Madrycie. Álvaro pozostał tam
pewien czas i wykorzystał go na
prowadzenie apostołstwa wśród
przyjaciół. Niejednemu przedstawił
obszerną panoramę życia
chrześcijańskiego w życiu
codziennym, jaką otwierał duch
Opus Dei. Jeden czy dwóch spośród
jego znajomych również
zdecydowało się wówczas przystąpić
do Dzieła. We wrześniowym
biuletynie *Noticias* [Wiadomości] –
kartkach drukowanych na
powielaczu, łączących tych, którzy

korzystali z ludzkiej i duchowej formacji przy akademiku przy ulicy Ferraz, można przeczytać, że Álvaro „w La Granja oddał się pomyślnie słynnemu połowowi, o którym mówi Św. Marek w pierwszym rozdziale swojej Ewangelii”.

Począwszy od 7 lipca 1935 roku biografię biskupa Álvaro del Portillo można streścić w jednym zdaniu: wierność chrześcijańskiemu powołaniu w Opus Dei. Od pierwszej chwili miał świadomość, że jego „tak” powiedziane Bogu wiąże go na całe życie.

Słyszałem, jak wołał w Barcelonie w sierpniu 1991 roku:

– Panie, jakże dobry jesteś! Jak dobry jesteś, że mnie wybrałeś, że mnie wyróżniłeś spośród tylu osób bez żadnej szczególnej zasługi z mojej strony!

Jego wytrwałość, podobnie jak jego decyzja, była głęboko wolna. Nie stanowił dla niej przeszkody ewentualny brak ludzkich uczuć czy nadziei. Przed pięćdziesiątą rocznicą członkostwa w Opus Dei biskup Álvaro wyznawał z prostotą, że nauczył się tej lekcji już na początku pobytu w Dziele:

– Pan, jak zwykle w przypadku początkujących, obok głębokiej radości duchowej, podarował mi na początku silny entuzjizm wobec przyjętego powołania. Po paru miesiącach ten ludzki składnik powoli wygasał otwierając drogę nadziei nadprzyrodzonej, która zawsze musi znajdować się u podstaw naszej wytrwałości. Powiedziałem o tym naszemu Ojcu, który rozumiał mnie doskonale i skorzystał przy okazji tego mojego wyznania, żeby skreślić kilka rozważań mogących służyć wszystkim jego dzieciom.

– Z tego doświadczenia – przyznawał
– powstał 994. punkt *Drogi*: « Piszesz,
żeś „stracił entuzjazm”. – Powinieneś
pracować powodowany nie
entuzjazmem, lecz Miłością,
świadom obowiązku, który polega na
zaparciu się samego siebie».

W ten sposób don Álvaro w kilku
wierszach streścił głębokie znaczenie
Bożego wezwania i odpowiedzi
człowieka:

– Nie jest to stan ducha. Nie zależy
też od stanu zdrowia ani od sytuacji
zawodowej lub rodzinnej, w jakiej
ktoś się znajduje. Ponad wodami
życia z ich przypływami i
odpływami, z jego bólem i radością
nasze Boże powołanie błyszczy
zawsze jak jutrzienka pośród nocy
wskazując nieomylnie kierunek
naszej wędrówki ku Bogu. To
właśnie się liczy, moje córki i moi
synowie. To jest ostateczność. Inne
rzeczy, które mogą nam się

przytrafić, są przemijające. Nigdy o tym nie zapominajcie!

Biskup Álvaro del Portillo wcielał nauczanie Św. Josemaríi Escrivy, który rozumiał odpowiedź na wolę Bożą jako *zobowiązanie miłości*. Człowiek zakochany wypełnia dzień miłymi uczynkami, no unika poświęcenia ani oddania, ani też nie pozwala się ponieść wymówkom lub wykrętom. Taka dusza, nawet jeśli jest szczęśliwa, nigdy nie będzie *zadowolona* ze swojego oddania ukochanemu. Tym mniej, jeśli celem miłości jest sam Bóg.

2. Chrześcijańska rodzina

Pewnego dnia w lipcu 1977 roku, na początku obiadu, kiedy podawano jedzenie, prałat Álvaro, pogrążony w rozmowie, nie zauważył, że oprócz innych warzyw nakłada sobie kilka ziemniaków. Zobaczywszy to, podał je don Florencio Sánchezowi Bella i don Joaquínowi Alonso, którzy

siedzieli obok niego. Przypomniało mu to słowa, które mówiła do niego w dzieciństwie jego matka. Álvaro musiał szybko zjadać obiad, żeby zdążyć na popołudniowe lekcje w szkole. Żegnając się zabierał coś z talerza deserowego swojej matki, a ona zazwyczaj mówiła:

– Twoje dzieci wydrą ci jedzenie z ust.

Don Álvaro dodawał, że kiedy sobie przypominał tę scenę, myślał, że matka się pomyliła, ale okazuje się, że nie...

Miejscowość Sollano, na ziemiach prowincji Vizcaya, należała do gminy Zalla. Historycznie panami tego miejsca było dziesięciu braci, z których każdy „znaczył tyle samo, co inni”, zgodnie z ich zawołaniem: „jeden z dziesięciu z Sollano”. Stąd wywodzi się nazwisko Diez[5] de Sollano (nie zaś *Díez* z akcentem nad ‘i’, jak zazwyczaj błędnie się pisze).

Clementina Diez de Sollano Portillo była ładna i dystyngowana. Była też dobrą chrześcijanką. Urodziła się w Cuernavaca (Meksyk), gdzie jej rodzice mieszkali do czasu powrotu do Hiszpanii w 1910 roku, kiedy w Meksyku zaczęła się rewolucja. Zachowała obywatelstwo meksykańskie oraz słodki i miękki akcent tamtejszej mowy. Częściowo uczyła się w Londynie, w szkole Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego. Poza utrwaleniem znajomości angielskiego, który zawsze dobrze знаła, prawdopodobnie nauczyła się tam przeżywać swoją chrześcijańską wiarę elastycznie, bez sentymentalizmów, zachowując zdrowy rozsądek i nadprzyrodzone spojrzenie. Była wykształconą i lubiącą czytać kobietą. Podobały jej się biografie i książki z dziedziny duchowości. Zawsze miała pod ręką Tomasza à Kempis. Codziennie chodziła na Mszę świętą.

Jej syn Álvaro odziedziczył po niej niektóre ludzkie cechy jak uprzejmość i delikatność w obcowaniu z ludźmi, uśmiech towarzyszący jej nawet najbardziej energicznym decyzjom, szczerego ducha zrozumienia, który sprawiał, że nie mówiła o nikim źle ani nikogo nie krytykowała. Álvaro odziedziczył również coś bardziej prozaicznego: zdolność spożywania z niezmaconym spokojem najbardziej pikantnego europejskiego jedzenia, które nigdy nie było dla niego tak smaczne jak meksykańska bardzo ostra wędzona papryka.

To w domu rodzinnym w duszy Álvaro zrodziła się pobożność do Najświętszej Maryi Panny poprzez różaniec święty. Z ust matki nauczył się popularnej i pełnej naiwności modlitwy do Maryi, którą przywykł odmawiać codziennie:

Słodka Matko, nie oddalaj się ode
mnie,

nie odwracaj ode mnie Twego
wzroku,

bądź ze mną wszędzie

i nigdy mnie nie opuszczaj.

Skoro już tak bardzo mnie chronisz,

jak prawdziwa Matka,

spraw, żeby błogosławił mnie Ojciec,

Syn i Duch Święty.

Kiedy don Álvaro powrócił do
Meksyku w 1983 roku, poczuł się
bardzo synem tej ziemi. „Chociaż –
żartował – teraz mówię twardo jak
Hiszpanie, kiedy byłem mały,
mówiłem tak miękko, jak wy.” Dodał
bardzo rozbawiony, że jego babka
śpiewała mu jako kołysankę hymn
narodowy Meksyku.

Przypominał również o swoich meksykańskich korzeniach w sierpniu 1977 roku komentując słowo *Santina*[6], „wyraz czułości, zaufania, miłości”. Mieszkańcy Asturii zwracają się w ten sposób do swojej patronki, Najświętszej Maryi Panny z Covadonga. Álvaro wyznał nam, że kiedy był mały nazywał swoją matkę „mamusieńka” a później nauczył się od Św. Josemaríi wzywać Maryję mówiąc do Niej: Matko! Mamusiu!

Kilka tygodni wcześniej, w lecie 1977 roku – nie zapamiętałem całej sytuacji – opowiadał przy okazji jakiś bohaterski szczegół z chrześcijańskiego życia swojej matki. Chociaż odznaczała się na tyle wielką delikatnością duszy, żeby o tym nie mówić, syn zdawał sobie sprawę, że wstawała bardzo wcześnie (wydaje mi się, że zrozumiałem, że o czwartej rano), kąpała się w zimnej wodzie na znak umartwienia, a następnie przez

godzinę się modliła. Don Álvaro kojarzył te szczegóły z troską pani Clementiny o wiarę bliskiej osoby, którą bardzo kochała.

Jej mąż Ramón del Portillo Pardo urodził się w Madrycie i studiował prawo na ówczesnym Uniwersytecie Centralnym. Pracował w firmie ubezpieczeniowej „Plus Ultra”. Człowiek uporządkowany i pracowity, wielki domator, był, zgodnie z tym, co mówi jego córka Pilar, „wytworny i poprawny we wszystkim, bardzo wykształcony i elegancki, niezwykle punktualny i bardzo drobiazgowy”. Jego charakterowi ton nadawała precyzja, dokładność, powaga. „W każdym razie – opisuje inny syn Carlos – był poważny, ale nie surowy. Nie pamiętam go w żadnym wypadku jako osoby szorstkiej, sztywnej czy zimnej”.

Ten przyjazny i serdeczny człowiek bardzo lubił korridę i lekturę. Z upływem lat tracił wzrok.

Prawdopodobnie była to rodzinna choroba zważywszy na to, co usłyszałem od don Álvaro o jego dziadku. Mieszkał na ulicy Caballero de Gracia i często chodził do Kaplicy Królewskiej znajdującej się blisko Red de San Luis. Pewnego dnia, w jadalni, mocno rozzłoszczony opowiadał swojej żonie, że *wpadła* na niego jedna z tych *świętoszek*, które idą przez kościół i nie patrzą... A ona powiedziała:

– W takim razie to ty omal mnie nie przewróciłeś na ziemię!

Clementina i Ramón mieszkali również na początku swojego małżeństwa przy ulicy Caballero de Gracia. Jednakże wkrótce przenieśli się do obszerniejszego domu przy ulicy Alcalá 75, tuż przed Puerta de Alcalá idąc od placu Cibeles, po lewej

stronie. Tam urodził się Álvaro. Niemal naprzeciwko znajdowało się „El Sotanillo”, stara pijalnia czekolady, dzisiaj nieistniejąca, związana z działalnością apostolską Założyciela Opus Dei w latach trzydziestych. Później państwo del Portillo przenieśli się na ostatnie piętro innego budynku przy niedalekiej ulicy Conde de Aranda pod numerem 16. Mieli ośmioro dzieci o imionach: Ramón, Paco, Álvaro, Pilar, Pepe, Ángel, Tere i Carlos.

Álvaro urodził się 11 marca 1914 roku i został ochrzczony sześć dni później w parafii Św. Józefa, znajdującej się przy ulicy Alcalá, dokładnie w miejscu gdzie rozpoczyna się madrycka Gran Vía. Rodzicami chrzestnymi byli jego wujostwo Jorge Diez de Sollano i María del Carmen del Portillo Pardo. Dano mu na imię Álvaro José María Eulogio (to ostatnie było imieniem

świętego, którego wspomnienie obchodzono danego dnia, zgodnie ze zwyczajem bardzo wówczas zakorzenionym w Hiszpanii). 28 grudnia 1916 roku przyjął sakrament bierzmowania z rąk biskupa Eustaquio Nieto y Martín, ordynariusza Sigüenzy[7], w parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Świadkami bierzmowania byli hrabia Almenas i księżna Victorii. Jak wiadomo, w owym czasie w Hiszpanii zwykle udzielano tego sakramentu już dzieciom.

11 marca 1989 roku w dzień siedemdziesiątych piątych urodzin don Álvaro odprawił Mszę w prałackim kościele Najświętszej Maryi Panny, Królowej Pokoju. W homilii, wspominając z wdzięcznością tyle łask, jakie otrzymał od Pana w ciągu swojego życia, przypomniał przede wszystkim fakt narodzin w

chrześcijańskiej rodzinie, gdzie nauczył się pobożności. Przypomniał panią Clementinę, „która wpoila mi szczególną pobożność do Najświętszego Serca Jezusowego i Ducha Świętego oraz szczególną cześć dla Maryi pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel”. I dodawał: „Nasz Pan Bóg zechciał, żeby była przyjacielem mojego ojca a to, w oczywisty sposób, sprawiło, że nie miał nieodpowiednich przyjaciół”.

Mercedes Santamaría opowiadała mi, że Álvaro wyróżniał się od najmłodszego dzieciństwa jako bardzo towarzyskie dziecko. Kiedy prowadziła go na spacer od ulicy Conde de Aranda, drogą położoną bezpośrednio obok parku Retiro, ludzie zatrzymywali się i przyglądali się mu, dlatego że zwracał powszechną uwagę. Niejeden czuł się zobowiązany, żeby coś do niego powiedzieć a on odpowiadał w

naturalny sposób, jakby zachęcając do kontynuowania rozmowy. Wątpię, żeby pełna miłości Mercedes mogła się mylić. Jednakże don Álvaro wspominał niekiedy, że był nieśmiałym chłopcem. Na przykład, kiedy mówił, że z powodu nieśmiałości nie chciał być adwokatem jak jego ojciec albo kiedy wspominał, jak łatwo się rumienił ... Być może uciekał się do nieśmiałości jako środka skromności, właśnie w chwilach, w których kierował swoje słowa z oczywistą energią do tysięcy osób...

Wkrótce pojawiły się u niego dość poważne schorzenia. Cierpiał ataki reumatyzmu mając zaledwie dwa czy trzy lata. Po kolacji jego dwaj starsi bracia dostawali do wypicia wielki kubek mleka z ubitym żółtkiem a on lekarstwo. Mówił im z zazdrością i z meksykańskim akcentem: „Ale z was szczęściarze! Wam dają ubite żółtko a mi

Sanatogén”. Chodziło preparat salicylanowy o niedobrym smaku. Musiał mieć pewną wrodzoną skłonność do tej choroby, dlatego że o wiele później, kiedy miał już prawie dwadzieścia lat, reumatyzm zaatakował go ponownie. Przyjął go dr Gregorio Marañón[8]. Pilar del Portillo pamięta receptę, być może ze względu na jej oryginalność: krople z siekanego czosnku wymoczonego w alkoholu.

Don Álvaro śmiał się przypominając pewną anegdotę z dzieciństwa, kiedy chciał poprawić gramatykę jednego z młodszych dzieci. Pilar albo może Pepe powiedzieli *bram* zamiast *biorę*, co jest typowym zniekształceniem języka u dzieci. A Álvaro wyjaśnił im kategorycznie:

– Nie mówi się *brać*, tylko *biorać*.

Psocił i łobuzował jak inne dzieci i jego ojciec niekiedy czuł się zmuszony go karać. Jednakże Álvaro

mu się wymykał. Czasami, kiedy don Ramón szedł za nim i już miał go pochwycić, żeby wymierzyć mu karę, uciekał przebiegając pędem pod wielkim stołem w jadalni.

Kiedy był mały, don Ramón zabierał jego wraz z rodzeństwem na Mszę w niedzielę rano. Szli z domu przy ulicy Conde de Aranda do znajdującego się blizutko kościoła Św. Emanuela i Św. Benedykta. Później przechodzili przez ulicę Alcalá, żeby pospacerować po parku Retiro, gdzie ojciec zapraszał ich na frytki i oranżadę. Według siostry Álvaro Pilar, która urodziła się po nim, Álvaro był pogodnym, wesołym i prostym dzieckiem, raczej zaokrąglonym, o sympatycznej i uśmiechniętej minie. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek kłamał. Natomiast owszem, robił dziecinne psoty, jak również z upływem czasu wiele żartów bardziej lub mniej zabawnych. Jego pobożność była

typowa dla rodziny chrześcijańskiej. Pilar myśli, że u Álvaro najbardziej rzucała się w oczy ciągłość jego zachowania przez lata. Jest przekonana, że „w głębi duszy nadal zachowywał ową niewinność, ową prostotę, to szczere poszukiwanie Boga, jakie charakteryzowało go, kiedy był bardzo mały”.

3. Pierwsza młodość

Álvaro del Portillo otrzymał ludzką i chrześcijańską formację w szkole Najświętszej Maryi Panny z Pilar[9], którą prowadzili marianiści przy ulicy Castelló 46 w Madrycie.

Ze względu na pewne cechy temperamentu był raczej energiczny. W dzienniczku szkolnym nauczyciel zawiadomił na piśmie rodziców: „Jego charakter można delikatnie określić jako nieco ostry”. Zaś don Ramón dopisał:

– Jak to delikatnie? Zdecydowanie! – tak bardzo był przekonany o silnym charakterze swojego syna.

W owym czasie Álvaro musiał zrobić jakieś duże głupstwo w szkole, dlatego że nauczyciel, don Genaro, chwycił go za nogi, głową w dół, i wywiesił go za okno klasy mówiąc z dużym wdziękiem, jako że był niezwykle sympatycznym człowiekiem:

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to cię puszczę.

Zawsze, kiedy słuchałem szkolnych wspomnień biskupa Álvaro, wspominał z wdzięcznością tak wielu dobrych nauczycieli, którzy przyczynili się do jego formacji intelektualnej i praktykowania wiary, jaką otrzymał na chrzcie świętym. Zdołałem zatrzymać w pamięci tylko nazwisko nauczyciela kaligrafii Eduardo Cotelo, autora książek i zeszytów bardzo popularnych w

pierwszych trzydziestu latach dwudziestego wieku. Po upływie wielu lat biskupowi Álvaro sprawiło radość, kiedy się dowiedział, że Założyciel Opus Dei również używał w swojej szkole zeszytów Eduardo Coteló.

Dawni koledzy, obecnie już zaawansowani wiekiem, wspominają nadal postać Álvaro, z którym dzielili tyle trudów w klasach i na dziedzińcach szkoły, kiedy odbierali edukację podstawową i średnią. Niektórzy nie potrafią wyjaśnić, dlaczego nie zatarł się w ich pamięci, chociaż rozumieją, że może to wydawać się zaskakujące, zwłaszcza jeśli mieli z nim kontakt tylko w okresie szkolnym. Myślą, że przyczyna leży we wrażeniu, jakie wywarła na nich kielkująca w nim prawość, jego autentyczna dobroć.

Wśród tych dawnych uczniów szkoły znajduje się Alberto Ullastres.

Wykładowca pierwszego Wydziału Nauk Politycznych i Ekonomicznych w Madrycie, który był ministrem handlu w 1957 roku i prowadził później rozległą działalność dyplomatyczną w Brukseli jako ambasador Hiszpanii przy Wspólnocie Europejskiej. Przypomina sobie Álvaro del Portillo, pomimo że sam był w wyższej klasie. W każdym razie zazwyczaj jest odwrotnie. To uczniowie niższych klas zwracają uwagę na niektórych uczniów z klas wyższych. Jednakże przez długi okres klasy Alberto i Álvaro codziennie spotykali się na przerwie. Alberto prawie zawsze chodził grać w piłkę nożną, w górnej części dziedzińca. Po przeciwnej stronie inni uczniowie bawili się grając w pelotę przy frontonie. Mniej więcej w środkowej części przebywali *intelektualiści*, którzy woleli poświęcać ten wolny czas pogawędkom na interesujące tematy, co nie oznacza, że nie lubili sportu...

Alberto Ullastres uważa, że Álvaro miał około dziewięćdziesięciu kolegów, których on zapomniał niemal zupełnie:

– Minęło ponad 65 lat – opowiadał mi 6 lutego 1995 roku tłumacząc się, że nie może przedstawić więcej szczegółów. – Jednakże – powtarzał – nie rozumiem, dlaczego tak głęboko wrył mi się w pamięć obraz opanowanego i spokojnego Álvaro gadającego z innymi, podczas gdy ja kopalem piłkę na boisku.

Inny kolega pamięta doskonale dzień, kiedy poznał Álvaro w październiku 1922 roku, świeżo po przybyciu do swojej pierwszej szkoły:

– Skierowano mnie do klasy elementarnej poprzedzającej klasę wstępną i usiadłem nieśmiało w rzędzie pulpitów znajdującym się najbliżej okna, chyba w przedostatniej ławce. Po mojej lewej

stronie siedział ośmioletni jak ja chłopiec, trochę grubawy, uśmiechnięty, o dobrodusznym i sympatycznym wyglądzie. Nazywał się Álvaro del Portillo. Dano mi książkę z czytankami a ja nie wiedziałem, co mam robić.

Otworzyłem nieśmiało książkę i popatrzyłem przez ramię na Álvaro, żeby zobaczyć co czyta. Był to opis lwa autorstwa słynnego przyrodnika francuskiego Buffona. Jako że nie znałem zwyczajów panujących w mojej nowej szkole, myślałem, że trzeba to przeczytać i zagłębiłem się we wnikliwy opis słynnego przyrodnika. Był on tak ostry i nieodpowiedni dla umysłu dziecka, że po kilku minutach potwornie mnie znudził. Jednakże, mimo wszystko naśladowując zachowanie mojego sąsiada z ławki, który musiał być szkolnym weteranem, czytałem dalej.

W ten sposób tworzyły się głębokie przyjaźnie. Wielu pamięta uśmiech Álvaro, „dobrego dziecka, które lubiło pomagać innym”. Wszystko to Álvaro robił z wielką naturalnością, chociaż jeden z nauczycieli zapisał pewnego razu w jego dzienniczku: „błazen”. Nikt nie wie, skąd wzięło się to określenie. Przypuszcza się, że chodziło o jakiś dziecinny żart, który nie rozbawił surowego nauczyciela. „Álvaro – kończy jeden z kolegów – był „wesołym, miłym i sympatycznym chłopcem, trochę psocił i „błaznował” jak wszystkie dzieci”.

„My, którzy poznaliśmy go w szkole – napisał José María Hernández de Garnica, uczeń wyższej klasy – pamiętamy go jako wspaniałego towarzysza o szlachetnym charakterze i wielkiej odwadze.”

Z łatwością uczył się języków. Rozwój jego naturalnych zdolności ułatwiła

decyzja ojca, aby poszukać nauczycieli, którzy codziennie przychodzili do domu. Wiele lat później biskup Álvaro wspominał swoje nauczycielki angielskiego Mrs. Hodges, francuskiego Mlle. Anne i niemieckiego (Biskup Javier Echevarría, obecny prałat Opus Dei, podał mi dwa pierwsze nazwiska, ale nie zdołał sobie przypomnieć sobie ostatniego z nich).

Od małego, jak przypomina sobie Pilar del Portillo, widać było wielkie zdolności umysłowe Álvaro.

Jednakże nie wynosił się nad innych z powodu swoich zalet. Na przykład „bardzo dobrze rysował, ale nie chwalił się tym. Przeciwnie, był pełen głębokiej prostoty i wielkiej skromności”.

Poza tym dostawał dobre stopnie. Po południu spędzał wiele godzin na nauce, obok balkonu, w pokoju, w którym mieszkał ze swoimi braćmi

Pepe i Ángelem. Rozpoczął szkołę średnią w 1924 roku a ukończył ją w 1931.

Ci, którzy obcowali z nim za młodu, potwierdzają trzy cechy jego charakteru: naturalność, sympatyczne zachowanie, ciągłość po latach. Faktycznie, jeśli chodzi o jego zewnętrzny sposób zachowania, widząc go wiele lat później jako inżyniera, kapłana, biskupa..., odkrywali to samo naturalne postępowanie, identyczne otwarte spojrzenie, takie samo zainteresowanie nimi, jak przed laty.

Z pewnością głębokie i życzliwe było spojrzenie jego niebieskich oczu, ledwie ukrytych pod przezroczystymi szklami okularów. Mogłem to zauważyć, kiedy był już dorosły. Czasami, kiedy rozmawialiśmy podczas spotkań z członkami Dzieła, lekkim ruchem – spontanicznym, niezwykle szybkim –

podnosił w górę źrenice, jakby komentował w ciszy Panu swoje wrażenie z tego, co mu opowiadamy albo prosił za osobami i dziełami apostołskimi, o których była mowa. Później szybko poruszał ręką dotykając czoła i znów mogliśmy podziwiać serdeczność jego oblicza. Również kiedy nadchodził czas modlitwy, sam na sam z Bogiem, albo odprawiania Mszy świętej, spojrzenie stawało się skupione, ale nie gasło. Było ożywione w szczególny i pogodny sposób.

Álvaro był inteligentny i uporządkowany. Nie lubił improwizacji. Raczej postrzegano go jako osobę przewidującą i ostrożną. Kuzynka ze strony ojca Isabel Carles Pardo podkreśla jeszcze, że w ogóle nie był gwałtowny. Jeżeli go pytano albo proszono o coś, czego nie mógł rozstrzygnąć natychmiast, odpowiadał:

– Cóż, przemyślę to.

Nie chodziło jednak o wymówkę ani o pełne wahania niezdecydowanie, ani nawet o zwykłe zyskanie na czasie, tylko o zdolność refleksji, czynny spokój. Biskup Álvaro nie zapominał o sprawie, tylko działał później, z wielkim spokojem. Z drugiej strony, jeżeli jasno widział, co powinien zrobić, czasami od razu, zaczynał działać. Zawsze z opanowaniem, z uśmiechem, zachowując spokój i obdarzając nim innych.

Miał sympatyczny, ciepły, zwracający uwagę wygląd zewnętrzny. Kardynał Ángel Suquía, arcybiskup Madrytu, który poznał go w 1938 roku, pamiętał go jako „młodego, wytwornego i miłego studenta”. I dodawał: „był to człowiek z istoty swej dobry, serdeczny w rozmowie, bardzo rozważny, a równocześnie bardzo wesoły i śmiały. Nie

pamiętam, żebym kiedykolwiek rozstawał się z nim w mniej wesołym nastroju niż się spotkałem”.

Przyjął pierwszą Komunię świętą 12 maja 1923 roku będąc uczniem szkoły Najświętszej Maryi Panny z Pilar. Ceremonia nie odbyła się w szkolnej kaplicy, tylko w parafii Niepokalanego Poczęcia, przy ulicy Goi. Tego dnia po raz pierwszy przystąpiło do Komunii stu dziesięciu chłopców i dwie dziewczynki.

Od tego czasu Álvaro przyjmował bardzo często Jezusa Sakramentalnego, pomimo wysiłku związanego z obowiązującymi wówczas przepisami dotyczącymi postu eucharystycznego[10]. Faktycznie musiał wychodzić do szkoły na czczo. Później jadł śniadanie, które nosił zawinięte w papier w kieszeni. W szkole codziennie była odprawiana Msza święta, ale nie była ona

obowiązkowa. Chodził na nią tylko ten, kto chciał.

Naturalnie Álvaro czynnie uczestniczył w innych praktykach pobożności, które odbywały się w szkole. Będąc już w dojrzałym wieku pamiętał pieśni intonowane podczas Drogi Krzyżowej.

– Ostatnia stacja: Złożenie Pana Jezusa do grobu – wspominał. – Powtarzaliśmy bardzo kiepskie wiersze, które pomagały jednak w poruszeniu duszy. Nadal mnie poruszają. Przytaczał następujące słowa: *zamykają Króla cnót / ciężkie grobu kamienie / ale świata zbawienie / wyśpiewuje już lud*. Tak też jest. Bóg umiera, żebyśmy my żyli. Zostaje pochowany, żebyśmy mogli wszędzie dotrzeć. Dlatego lud wyśpiewuje zbawienie świata.

Chodził na Mszę również podczas letnich wakacji w La Granja, w latach dwudziestych, chociaż nie należał do

żadnego pobożnego stowarzyszenia. Nawet nie lubił służyć do Mszy. Nigdy nie był ministrantem. Wolał uczestniczyć we Mszy jako jeden z wielu, z ławki. Nie chodził również do jednego kościoła, co wówczas było czymś normalnym. Krążył między kolegiatą, klasztorem klarysek, parafią Chrystusa i kaplicą Bolesci NMP. Wspominał z uczuciem ową wspólnotę klarysek z La Granja, chociaż równocześnie z bólem, dlatego że musiały opuścić swój klasztor. Chodził do nich w lecie 1935 roku, kilka tygodni po tym, jak odpowiedział na Boże wezwanie, żeby prosić je o modlitwy za Opus Dei.

Poznałem niektóre z tych szczegółów pewnego popołudnia w lipcu 1978 roku, po tym, jak towarzyszyłem prałatowi Álvaro w modlitwie różańcowej w parafii Chrystusa. Przyjechaliśmy od strony drogi łączącej Sorię i Segowię, na

wysokości Torrecaballeros.

Opowiedział nam przy okazji, że na drodze między La Granja a Torrecaballeros, kiedy był mały, w lecie po raz pierwszy jeździł na rowerze. Wspominał również swoje odwiedziny Najświętszego Sakramentu, kiedy, będąc już młodzieńcem, o zmierzchu powracał z wędrówki z przyjaciółmi.

Spędził wiele letnich wakacji w La Granja, w domu przy ulicy la Reina pod numerem 11, w pobliżu pałacu królewskiego[11]. Nie wiem, czy był to ten sam dom, w którym spędzali lato również dziadkowie ze strony ojca. Wiele lat później, mówiąc o Eucharystii, biskup Álvaro wspomniał zachody słońca w Kastylii. Niewątpliwie obraz ten wyrył mu się w pamięci podczas wakacji przeżywał go później, kiedy wraz z Założycielem Opus Dei przyjeżdżał do Molinoviejo, również u podnóża gór, niedaleko Segowii:

– Jako że jest to ogromna równina, w oddali widać zachodzące słońce. Kiedy już wydaje się dotykać ziemi, wygląda to jak pożar. Całe niebo jest zabarwione na czerwono a słońce na tysiąc kolorów. Jest to tylko złudzenie optyczne, dlatego że naprawdę słońce nie dotyka ziemi... Natomiast kiedy przyjmujemy Pana – który jest o wiele większy niż słońce, jest Słońcem nad słońcami – w Eucharystii i dotyka On naszego ciała i naszej duszy... jakież cud musi się w nas odbywać! Jakże rozpala się nasza dusza w kontakcie z Chrystusem! Jak bardzo przeobraża ją łaska!

Któregoś roku podczas wakacji przybył do pewnego miejsca w Asturii o nazwie La Isla. Mogło to być na początku lat trzydziestych, zgodnie z tym, co usłyszałem od niego przy okazji w lipcu 1976 roku. Nawiązał tam przyjaźń z rodziną José Maríi Gonzáleza Barredo, urodzonego w pobliskiej Colundze.

José María poprosił o przyjęcie do Opus Dei około 1932 roku. Natomiast, jak zobaczymy, poznanie jego ojca, który też miał na imię Álvaro, okaże się decydujące dla ponownego spotkania Álvaro del Portillo ze Św. Josemarią Escrivá w czasie hiszpańskiej wojny domowej.

Kiedy poznałem La Isla, miejscowość otwierającą się na wspaniałą widok Morza Kantabryjskiego, zrozumiałem to, co słyszałem od prałata Álvaro. Podczas tamtych wakacji w latach trzydziestych spędził wiele czasu podziwiając przyrodę i nawet bez jasnej świadomości modlitwy rozmawiał z Bogiem i dziękował Mu za stworzenie tak pięknej natury:

– Wówczas Pan zaczynał już wchodzić do mojej duszy – zakończył.

W La Isla miało miejsce istotne w jego młodości wydarzenie. Pewnego

dnia umówił się z przyjaciółmi na wycieczkę motorówką. Zamierzali popłynąć morzem do Ribadesella. Nie pamięta z jakiej przyczyny w ostatnim momencie zdecydował, że nie pojedzie. A tymczasem niespodziewanie zerwał się nad Morzem Kantabryjskim porywisty wiatr północno-zachodni. Zanim zdążyli powrócić do portu, słaba łódź zatonała i wszyscy się utopili z wyjątkiem jednego z nich, najmłodszego, który zdołał dopłynąć do brzegu mimo silnej fali. Kiedy walczył z morzem, obiecał, że jeśli się uratuje, poświęci swoje życie Panu. Wkrótce potem wstąpił do seminarium w Valdediós.

Biskup Álvaro mówił, że wówczas wyryło mu się w pamięci niespodziewane użycie przymiotnika *ładny*, tak częstego w Asturii. Po dramatycznym, strasznym pogrzebie tych dziesięciu czy dwunastu

przyjaciół usłyszał, jak pewna kobieta z wioski mówiła:

– Jaki to był *ładny* pogrzeb!

Wiele lat wcześniej przydarzyła się w Madrycie inna tragedia. Kiedy prałat Álvaro opowiadał o niej przy okazji, pomyślałem, że, zachowując wszelkie proporcje, widać tu było pewną opiekę ze strony Bożej Opatrzności.

Pewnej niedzieli pod koniec letnich wakacji, kiedy wszyscy byli już w Madrycie, jego starszy brat zapragnął zabrać go do teatru Novedades, gdzie grano zarzuelę mistrza Alonso. Ostatecznie nie poszli – Álvaro również nie pamiętał z jakiego powodu, podobnie jak w przypadku wycieczki w La Isla. W tym samym dniu zdarzył się okropny pożar, który całkowicie zniszczył ten słynny madrycki teatr o 900 miejscach, otwarty w 1857 roku przez królową Izabelę II. Zdarzyło się to w niedzielę, 23 września 1928 roku.

Wystawiano wówczas zarzuelę *La mejor del puerto* z muzyką Francisco Alonso do słów Fernándeza Sevilli y Carreño. Teatr był zapełniony do ostatniego miejsca. Pożar rozprzestrzenił się z niezwykłą szybkością i spowodował takie zamieszanie, że ratunek stał się prawie niemożliwy pomimo wysiłków strażaków, którzy mogli tylko zapobiec zapaleniu się sąsiednich domów. Na dramatyczny sposób było to bardzo widowiskowe. Według kronik owych dni płomienie widziano z miejscowości Vallecas, Getafe czy Pinto. Zginęły sześćdziesiąt cztery osoby a setki odniosło rany i obrażenia ciała. Bardziej niż sam ogień największą liczbę ofiar spowodowała panika przy próbach ucieczki. Wiele osób zginęło zmiażdżonych, zdeptanych w pobliżu wyjść.

Nie wiem, czy biskup Álvaro zaakceptowałby to, co przypisuje się

Oskarowi Wilde, że jego ojczyzną było dzieciństwo. Jednakże zawsze odczuwał wielką sympatię do miasta, w którym się urodził. Widać było u niego iskrzącą radość, kiedy przyjeżdżał do swojego Madrytu. Człowiek tak bywały w świecie bardzo dobrze czuł się w tym mieście. Uważał się za prawdziwego madrytczyka.

Podczas pobytów w Madrycie wymykały mu się pełne czułości zdania. Czasami zwykłe wiadomości dotyczące miasta, jak ta, kiedy wyjaśnił nam, że dawny plac Manuela Becerry, później plac Rzymski, był popularnie znany przez lata jako *plac Radości*. Nazwa pochodziła stąd, że tam porzucano żałobę podczas pogrzebów kierujących się na cmentarz La Almudena. Dalej szły już tylko osoby z najbliższej rodziny. Reszta zwracała *bardzo zadowolona*.

Zachował ów dobry humor, autentycznie madrycki, który dostrzegano w szybkości odpowiedzi i w łatwości puentowania cudzych słów, a także używania wyrazów o podwójnym znaczeniu. W 1990 roku byłem świadkiem, jak żartował z Umberto Farrim, który wyjeżdżał z Rzymu do Chile:

– Powiedz im, że darzę ich szacunkiem i chciałbym bardzo odwiedzić..., ale że pozostaję z szacunkiem.

Wkrótce później, w lipcu 1991 roku, przyjechał do ośrodka Opus Dei w Iza (Nawarra). Lekarze zalecali mu bez przerwy, żeby spacerował, dlatego że ćwiczenia fizyczne mu służyły. Po południu mówiąc o pobliskich miejscach, w których można by spacerować, ktoś wspomniał również, że na dziedzińcu gospodarstwa można

spacerować i odmawiać o zmierzchu różaniec:

– Będzie chłodno i taki spacer będzie zdrowy.

Don Álvaro zauważył z uśmiechem:

– Ciekawe, czy widzieliście kiedyś chory spacer?

Z Juanem Francisco Montuenga żartował na temat wydarzeń z czerwca 1976 roku. Podczas długiego pobytu prałata Álvaro w Madrycie – pierwszego po wyborze na następcę Założyciela – otrzymał sporo podarunków: przedmioty artystyczne, książki, kwiaty i dużo sympatycznych drobiazgów, czasami również pewne sumy pieniędzy. Zdecydował się przekazać je na dzieła apostolskie w Hiszpanii, które dyrektorzy uznają za odpowiednie. Juan Francisco dziękował mu wobec innych „za uniwersalny zmysł,

którym nas obdarował”. Zaś prałat Álvaro podsumował to krótko:

– A zatem *forse* nazywasz uniwersalnym zmysłem.

Od tego czasu miał zwyczaj pytać go, jak stoi z uniwersalnym zmysłem, kiedy chciał się dowiedzieć, czy ma jakieś problemy finansowe.

Z delikatnością, ale również z poczuciem humoru biskup Álvaro przyjmował żarty i karykatury na swój temat w miejscach, przez które przejeżdżał. Jest zrozumiałe, że mieszkając w Rzymie od 1946 roku, używał zwrotów typowych dla narodu włoskiego. Aby podkreślić znaczenie bycia zupełnie szczerym w kierownictwie duchowym podawał następujący przykład:

– Nie możemy się oszukiwać, jak pewien pan, o którym opowiada się we Włoszech, że jadł makaron z zamkniętymi oczami, bo lekarz

powiedział mu, że makaronu nie wolno mu nawet oglądać.

Jednakże nigdy nie stracił swojego akcentu, który – jak wskazywał Enrique Chirinos w artykule opublikowanym w gazecie *El Comercio* w Limie 22 marca 1994 roku z okazji osiemdziesiątej rocznicy biskupa Álvaro – był „słabszy, łżejszy niż zwykle u Hiszpanów”. Przy czym, również jak porządny madrytczyk mówił szybko uważając wszystko za jasne i urywając zakończenia zdań. Ta szybkość utrudniała tłumaczenie symultaniczne, jeżeli słuchający nie znali hiszpańskiego. Sam biskup Álvaro przypominał z rozbawieniem historyjkę ze spotkania w Miami w 1988 roku, kiedy to poproszono go, żeby mówił wolniej:

– Na zakończenie ostatniego synodu, kiedy wszyscy występowali w swoim własnym języku, miałem do

dyspozycji zaledwie trzy minuty, a ponieważ chciałem powiedzieć o wielu sprawach, zacząłem mówić szybko. Natychmiast zapalił się świecący napis. Osoby wykonujące tłumaczenie symultaniczne wskazywały mi w ten sposób, że mówię za szybko. Przeprosiłem je wówczas po łacinie: *habeatis me excusatum, sum hispanus*, przebaczcie mi, jestem Hiszpanem. Trochę się śmiali i już dalej mówiłem wolniej.

Prałat Álvaro objawiał swoje sympatyczne madryckie *poczucie humoru* do ostatnich chwil przed śmiercią. O świcie 23 marca 1994 roku zadzwonił do ks. Javiera Echevarría, dlatego że miał trudności z oddychaniem i czuł, że serce tłucze mu się w piersi. Ks. Javier przybył niezwłocznie i wezwał lekarza. José María Araquistáin przybył natychmiast, dlatego że również mieszkał w Villa Tevere i tuż

przedtem towarzyszył biskupowi Álvaro w jego pielgrzymce do Ziemi Świętej. Zdawszy sobie sprawę z powagi sytuacji, wyszedł po butlę tlenową. Kiedy opuszczał pokój, don Álvaro zobaczył go w krótkim fartuchu i zapytał:

- Mój synu, co ty masz na sobie? Burnus?
- Nie, Ojcie, to kimono –
odpowiedział ze spokojem José María.

Tym bardzo delikatnym żartem pomógł mu złagodzić wielkie napięcie, ponieważ był świadomy niezwykle ciężkiego stanu biskupa Álvaro.

4. Zainteresowania

Zgodnie z zawartością rodzinnego albumu zewnętrzny wygląd Álvaro po zakończeniu nauki w szkole odznaczał się spokojną elegancją, która pasowała do jego uprzejmości i

życzliwości. Na zdjęciach z tamtego okresu nosi dobrze skrojone ubrania, nakrochmalone kołnierzyki zgodnie z modą tamtych czasów oraz eleganckie i klasyczne krawaty. Jego jasny wąsik wydaje się jaskrawym przeciwieństwem wobec przenikliwego a zarazem życzliwego światła błękitnych oczu. Jego wygląd odzwierciedla atrakcyjność dobrze wychowanego młodzieńca żyjącego w atmosferze właściwej dla zamożnej rodziny. Aparycja kogoś, kto ma być światowym człowiekiem...

Jest zatem zrozumiałe, że jego zainteresowania były również normalne, naturalne, spontaniczne.

Álvaro objawił szybko wielki pociąg do lektury. Pewnie temu właśnie a nie tylko nauczycielom zawdzięcza lekkie pióro i wspaniały styl. Stąd również owa wyraźna pewność, z jaką spełniony i niezmordowany

czytelnik rzuca po raz pierwszy okiem na nowość, która właśnie wpadła mu w ręce. Wielokrotnie byłem świadkiem takiej sceny i zawsze uważałem, że ten bardzo szybki sposób otwierania książki i kartkowania spisu treści, wstępu, dolnych przypisów, bibliografii odzwierciedla obyczaje porządnego intelektualisty.

W szkole Najświętszej Maryi Panny z Pilar dbano o formację kulturalną uczniów. Na przykład w 1924 roku przyjechał tam Juan de la Cierva y Codorniu[12], dawny uczeń, aby wyjaśnić im działanie wynalezione go przez siebie wiatrakowca. Często robili wycieczki i kulturalne wypady. Już w 1929 roku uczniowie, w tym Álvaro, pojechali do Barcelony z okazji wystawy światowej.

Od małego czytali interesujące książki. Don Álvaro wspomniał w Dublinie już w 1987 roku *Wyspę*

skarbów Roberta L. Stevensona
nawiązując do odnalezienia innej
wyspy pełnej bogactw – Irlandii,
„wyspy świętych”.

Spodobała mi się jego odpowiedź
podczas spotkania z młodzieżą w
Castellaura (Barcelona) w 1989
roku. Pośród innych pieśni śpiewano
katalońską piosenkę *La Gavina*.
Jeden z uczestników chciał mu
przetłumaczyć słowa:

– Nie trzeba, mój synu, bo rozumiem
po katalońsku. Zanim ukończyłem
czternaście lat, przeczytałem
Blanquerna Rajmunda Lulla[13].

Po upływie tylu lat pamiętał wiersze
i cytaty autorów klasycznych i
przytaczał je spontanicznie na
spotkaniach w domu albo kiedy
nauczał. Niekiedy wykorzystywał
fragmenty słynnych strof Jorge
Manrique[14], aby podkreślać walkę
o życie chrześcijańskimi cnotami
pośród świata i zagwarantować sobie

również w ten sposób ostateczną drogę do nieba. Mówiąc o apostołstwie, zwykle komentował, że ludzie czekają tak, jak Łazarz czekał w grobie na głos Jezusa, żeby wstać. Pewnego razu wspomniał ostatnie wiersze jednego z cyklu utworów Gustavo Adolfo Bécquera[15] zatytułowanych *Rimas (Rymy)*, *Del salón en el ángulo oscuro* (*W salonu ciemnym kącie*), mówiące o milczącej harfie, zapomnianej i pokrytej kurzem w owym kącie: „Ileż nut uśpionych w jej strunach, / Niczym ptak śpiący w gałęziach, / czekający na dłoń śniegu / która umie nimi szarpnąć! / Ach! – pomyślałem. – Ileż razy talent / śpi tak w głębi duszy / i, niczym Łazarz, czeka na głos, / który powie: «Powstań i idź»”.

Wykorzystywał fragmenty z Cervantesa, Quevedo lub Calderóna de la Barca[16], aby podkreślać pokorę lub odrzucać jako zwykłe *marzenia* ideały niemające wpływu

na postępowanie. Uciekał się również do hasła „wszyscy razem!”, jednomyślnej reakcji mieszkańców Fuenteovejuna, według klasycznego dramatu Lope de Vega[17], tworzącego w okresie hiszpańskiego Złotego Wieku, aby podkreślić konieczność wzajemnej pomocy w walce o chrześcijańską świętość. Była oczywista wyłącznie duchowa i apostołska treść tej głębokiej spójności. To były pierwsze słowa, które usłyszałem od niego w kwietniu 1989 roku, po jego powrocie z Nairobi. Ucieszyło go, kiedy się dowiedział, że to zdanie: „wszyscy razem” jest dobrze znane mieszkańcom Kenii, ponieważ używają często jego odpowiednika „harambee” dla określenia zjednoczenia pewnego ruchu. Na przykład w ten sposób nawołują rybacy prowadząc łodzie w kierunku plaży.

Również, żeby niczego nie opuścić, cytował wiersze, a także mniej lub bardziej pomysłowe zdania znanych autorów zwyczajnie po to, żeby rozbawić obecnych na spotkaniu, bez szczególnego celu dydaktycznego czy ascetycznego albo z czystego poczucia humoru. Tak na przykład powtarzał powiedzenia lub wiersze Quevedo, niestroniące od figlarności.

Był wielkim miłośnikiem sportu, co pasowało do jego charakteru. Biskup Javier Echevarría opowiadał Pilar Urbano w wywiadzie dla madryckiego czasopisma *Época* z 2 maja 1994 roku, że „w młodości uprawiał intensywnie pływanie, biegi przełajowe, jazdę konną, grał w tenisa i w piłkę nożną”.

Początkowo niełatwo było to sobie wyobrazić, zwłaszcza tym, którzy, tak jak my, poznaliśmy go wiele lat później. Zawsze pozostawał zajęty wielkimi sprawami albo tym, co

interesowało innych i trudno było odkryć zainteresowania samego prałata Álvaro, nawet przebywając z nim codziennie. Sprawiał wrażenie, że stopniowo zrezygnował ze wszystkiego, żeby być gotowym do pełnienia Bożej woli i do pracy w służbie Kościoła. Życie codzienne u boku Założyciela Opus Dei musiało sprawić, że zawiesił na kołku czysto ludzkie zainteresowania. Przez wiele lat jego aktywność fizyczna ograniczała się do spacerów albo gry w kule w towarzystwie Św. Josemaríi Escrivy.

Niemniej jednak, kiedy uczył się w szkole Najświętszej Maryi Panny z Pilar w Madrycie, jak twierdził José María Hernández de Garnica, „w drużynie piłkarskiej swojej klasy był twardym i szlachetnym obrońcą, którego bardzo się bali napastnicy przeciwnych drużyn”. Ci zaś, którzy byli z nim w wojsku, już w 1939 roku,

pamiętają, że bardzo lubił jeździć konno.

Zachwycalo go również morze. W latach siedemdziesiątych, jakiegoś świątecznego dnia, podczas wczesnopopołudniowego spaceru po porcie Avilés zrobił nam dowcip podchodząc do pozornie porzuconego frachtowca i wskakując na pokład. Jestem pewien, że gdybyśmy zaproponowali mu pójście w jakieś mało uczęszczane miejsce, chętnie rzuciłby się w orzeźwiające wody Morza Kantabryjskiego, żeby popływać.

To dawne upodobanie potwierdza przypadkowy komentarz prałata Javiera Echevarría w wywiadzie dla Pilar Urbano dotyczący rejsu, który odbyli razem z Założycielem Opus Dei z Neapolu do Kadyksu w 1968 roku: „biskup Álvaro zachwycił się, bo jak mówił, pobyt na pełnym morzu jest niezwykle odprężający”.

Pierwszy raz widziałem go z rakieta tenisową w ręku w 1976 roku. Moją uwagę zwrócił jego dobry styl: sposób trzymania rakiety, rozmach przed uderzeniem, poszukiwanie odpowiedniego miejsca, żeby odbić piłkę... Widać było również brak praktyki po tak długim czasie... Jednakże nie utracił nawyków dobrego sportowca. Z pewnością w miarę upływu lat, było mu coraz trudniej zajmować się sportem i spacerami, które zalecali mu lekarze. Można było się wzruszyć widząc, jak walczył, żeby z godnością wykonać to ćwiczenie fizyczne, nawet kiedy w ogóle nie miał na to ochoty albo miał bardzo niewielką. Przewycięzał beczynność przy pomocy sportowego ducha... i ofiarował to Bogu, podczas gdy na zewnątrz płatał figle towarzyszom.

Widziałem go takim do jego ostatniego lata 1993 roku. Zauważyłem to konkretnie pewnego

pochmurnego i zimnego, bardzo nieprzyjemnego dnia. Rano termometr wskazywał 13 stopni. Po podwieczorku prałat Álvaro zapytał, czy odbędzie się wieczorny spacer:

– Jak ojciec uważa – odpowiedział Javier Echevarría, który właśnie zapuścił sobie krople do oczu (niedawno przeszedł operację zaćmy). Biskup Álvaro odpowiedział szybko.

– Możemy zostać tutaj i porozmawiać.

Javier Echevarría odparł:

– Ojciec powinien spacerować.

Na to prałat Álvaro odpowiedział gestem *pokonanego*:

– No cóż, to co innego.

W inne dni tego lata 1993 roku spontanicznie wymykały mu się słowa *obrony*, kiedy ksiądz Javier

Echevarría albo ksiądz Joaquín Alonso przypominali nie zwracając się bezpośrednio do niego, że trzeba się przebrać i ruszać w drogę:

– Ze względu na mnie nie rezygnujcie.

Albo też:

– Wybaczam wam spacer.

Wreszcie wypowiadał zdanie o raczej wojskowym wydźwięku, kiedy ktoś proponował ewentualną konsultację z lekarzem w tej sportowej kwestii:

– Kto zapyta, zostanie zdemobilizowany.

Ostatecznie jednak i na poważnie, i w żartach biskup Álvaro słuchał rad i dbał o swoją formę fizyczną, konieczną, aby służyć innym. Mimo to nie przestawał odczuwać w głębi duszy pewnego żalu z powodu obsesji na punkcie sportu i zdrowia,

niemał kultu wobec hartu ciała, jaki odkrywał w naszych dzisiejszych czasach. Czasami żartował z tej kwestii, zwłaszcza wobec Joaquína Alonso, jakby chciał zaznaczyć dystans wobec jego wielkiej żywotności, zwłaszcza kiedy chodziło o jogging.

Pewnego dnia opowiedziałem, że przeczytałem wiadomość o pewnym lekarzu, który dostał zawału serca biegając wcześniej rano po plaży Concha w San Sebastián.

– Widzisz, Joaquínie? – skomentował to natychmiast prałat Álvaro. Zaś Joaquín zareplikował:

– Ale przecież mógł dostać zawału w innym miejscu, na przykład biegnąc do autobusu...

– Właśnie, Joaquínie – podsumował biskup Álvaro – biegnąc...

Carlos del Portillo opowiada, że mniej więcej w latach trzydziestych jego brat Álvaro był wielkim miłośnikiem fotografii. Opisuje, jak robił mu zdjęcia ustawiając go w różnych pozycjach i podkreślając, żeby się nie ruszał. Rezultat – wówczas bardzo dla niego zaskakujący – to pozytywny, na którym podawał rękę sam sobie.

Nic nie kazało mi podejrzewać go o takie hobby, ale kiedy się o tym dowiedziałem, zrozumiałem przyjemność, z jaką biskup Álvaro przeglądał zdjęcia, które otrzymywał – na przykład, z ceremonii wyświęcenia członków Opus Dei na kapłanów – a także jego dokładne komentarze na temat niektórych mniej udanych fotografii.

Natomiast wiedziałem, że od młodości był miłośnikiem korridy, trzymając się w tym rodzinnej tradycji. Słyszałem, jak opowiadał

plastyczne szczegóły z czasów, kiedy jako dziecko towarzyszył ojcu na ulicę Victoria, obok Puerta del Sol w Madrycie, żeby kupić bilety i karnety. Czasami zjadali wtedy po *kanapce z mięsem* w barze na tej samej ulicy albo na znajdującym się obok pasażu Matheu. Wówczas była to nowość gastronomiczna wymyślona przez właściciela jednego z tych lokali, który nazywał się Pepe[18] i podawał sandwicze ze smażoną cielęciną, znane od imienia ich twórcy jako *pepito*. Odniosły one tak wielki sukces, że rozpowszechniły się wszędzie i są znane do dzisiaj.

Zanim Álvaro wstąpił do Opus Dei, wynajął kiedyś z przyjaciółmi niewielką arenę na walki młodych byczków... Już jako dojrzały człowiek pamiętał dość dobrze najsłynniejszych torreadorów z tamtego okresu. Natomiast w codziennych rozmowach używał od czasu do czasu wyrażen z języka

związanego z korridą, co również jest stosunkowo częstym sposobem wysławiania się w Hiszpanii.

W czerwcu 1976 roku słyszałem, jak przypominał spontanicznie postać Św. Josemaríi Escrivy. „Chociaż Założyciel przez skromność uważał siebie samego za *nogę od stołu*, na którym pisze Pan Bóg, naprawdę, jak twierdził Álvaro, Pan sprawił samemu sobie radość stwarzając jego osobowość.

Razem z Założycielem Dzieła żywił nadzieję, że *wykona unik przed czyścem niczym torreador przed bykiem*, kiedy Bóg wezwie go przed swoje oblicze, przez wzgląd na Boże miłosierdzie i modlitwę jego dzieci. Również od Św. Josemaríi Escrivy nauczył się pobudzać swobodną inicjatywę członków Opus Dei w wielkiej perspektywie apostołskiej współczesnego świata. Zachęcali razem każdego, żeby rzucił się w wir

pracy zamiast stać z boku. Nikt nie może *przyglądać się bykom siedząc na ogrodzeniu*. Przeciwnie należy *wskoczyć na arenę, zejść na arenę*, żeby być obecnym przy najróżniejszych ludzkich zajęciach oraz w państwowych czy prywatnych organizacjach.

Oczywiście wobec zadań apostolskich istniał ludzki szacunek ani strach przed tym, co ktoś powie, dlatego że chrześcijanin *jak torreador stawia wszystko na jedną kartę*. Nie ma przeszkód dla człowieka rozmówianego w Bogu. Również trudności *unika się niczym rogów byka*. Na dodatek, dochodzi wstawiennictwo Św. Josemaríi Escrivy, który z nieba tak, jak przedtem na ziemi, *poda pomocną kapę z miłością i zrozumieniem*. Należy naciskać, kiedy na początku *byk się wymyka*. A chociaż właściwe jest stawianie czoła problemom – należy iść *wyprostowanym na byka* –

bez wymówek czy eufemizmów – i *chwycić byka za rogi* – nie brakuje okoliczności, w których należy *wykonać wymijający manewr*.

W maju 1983 roku biskup Álvaro odbywał wielką liczbę spotkań w Meksyku. Zobowiązał wikariusza regionalnego księdza Rafaela Fiola, żeby informował go o czasie trwania spotkania, bo chciał punktualnie realizować plan. Kiedy konsyliariusz spełniał to polecenie, prałat Álvaro komentował to przy pomocy porównania zaczerpniętego z języka korridy, znanego również na ziemiach meksykańskich:

– Powiedziałem mu, żeby stosował trzy powiadomienia. Za trzecim razem *do zagrody!*... Zostało jeszcze jedno.

Dobrze znający te zainteresowania a przede wszystkim codzienną *walkę* Álvaro, Św. Josemaría Escrivá umieścił następującą dedykację na

egzemplarzu *Drogi* około 1949 roku: „Mojemu synowi Álvaro, który chcąc służyć Bogu musiał walczyć z tak wieloma bykami”.

5. Inżynier

Kiedy Álvaro był bardzo mały i pytano go czym chciałby być, gdy dorośnie, odpowiadał, że torreadorem albo biskupem, żeby ubierać się kolorowo. Według tekstu opublikowanego przez profesora Manuela Guerrę w *Diario de Burgos* z 25 marca 1994 roku, szala przechyliła się na korzyść korridy właśnie w Burgos. Jako dziecko Álvaro spędzał tam wakacje u swojej ciotki. Pewnego dnia – jak zwierzał się po latach – „z okna swojego domu na Paseo del Espolón zobaczył, jak w eskorcie wojskowej jest przewożone ciało zmarłego arcybiskupa Burgos. Skoro Álvaro stwierdził, że biskupi również są śmiertelni, dylemat został rozwiązany: «Będę torreadorem»”.

Minęło trochę czasu i w wieku jedenastu czy dwunastu lat zaczął mu świtać pomysł zostania inżynierem od dróg, kanałów i portów albo też magistrem nauk humanistycznych. Jego dziecięcą wyobraźnię przyciągało bogactwo tych górnołotnych tytułów. Kiedyś myślał również o możliwości zostania adwokatem jak jego ojciec, ale uważał, że nie odważy się mówić publicznie z lekkością i swadą.

W godzinie prawdy przyjął realistyczną postawę. Kiedy zdał maturę w 1931 roku, sytuacja ekonomiczna rodziny nie była dobra. Dlatego, chociaż natychmiast zaczął przygotowywać się do wstąpienia do dwóch szkół dla inżynierów – drogownictwa i zajmujących się kopalniami, przedtem jeszcze postanowił odbyć krótsze studia specjalisty od robót publicznych. Wstąpił do tej szkoły w 1932 roku i w trzy lata zdobył tytuł specjalisty, co

pozwoili mu szybko zarabiać jakieś pieniądze.

Bez wątpienia naukę ułatwiły bardzo zainteresowanie i łatwość do rysowania. Mercedes Santamaría pamiętała, że Álvaro poświęcał wiele godzin rysowaniu. Myślała nawet, że pomagał innym kolegom, którzy mieli więcej trudności niż on. Carlos del Portillo przypomina również osobistą historyjkę z dzieciństwa. Był raczej niesfornym dzieckiem i pewnego dnia bawił się planami, które Álvaro tworzył przez cały rok. Prawie zupełnie zniszczył te plany rzucając na nie kałamarz czy coś w tym rodzaju. Doña Clementina naprawdę się rozgniewała uważając, że zmarnował wiele godzin pracy Álvaro. Dlatego Carlos czekał na niego z prawdziwym przestachem. Jednakże kiedy Álvaro przyszedł do domu i zobaczył co się stało, zawołał brata, posadził go sobie na kolanach i udzielił mu praktycznej lekcji na

temat zmysłu odpowiedzialności.
Carlos był zdumiony:

– Zamiast mnie zbić, pokazał mi
ważność tamtej pracy, żebym
nauczył się być ostrożniejszy w
przyszłości!

W owym czasie zdanie egzaminów
wstępnych do szkoły wyższej
oznaczało zazwyczaj wiele lat bardzo
intensywnych wysiłków. Álvaro
udało się wstąpić do Szkoły
Inżynierów Drogownictwa w 1933
roku. Jednakże nie zaczął studiów do
następnego roku, dlatego że władze
uczelni nie pozwoliły mu
kontynuować równocześnie nauki w
poprzedniej szkole, zwłaszcza na
pierwszym roku. Zdecydował się
zająć najpierw szkołą techniczną
średniego szczebla zawieszając
tymczasowo wyższe studia
inżynierskie. Dlatego w 1936 roku,
kiedy w Hiszpanii wybuchła wojna
domowa, miał ukończone dopiero

dwa lata studiów (w latach akademickich 1934/35 i 1935/36).

Swoją pierwszą pracę podjął jako specjalista do spraw robót publicznych w Dyrekcji Generalnej Prac Hydraulicznych Konfederacji Hydrograficznej Tagu w ramach Kierownictwa Mostów i Fundamentów Ministerstwa Robót Publicznych. W ten sposób kontynuował studia inżynierskie pobierając pensję, dzięki temu, że instytucja ta pracowała w godzinach popołudniowych.

Każdego ranka z domu przy ulicy Conde de Aranda szedł przez park Retiro – na teren szkoły wchodziło się wówczas od strony wzgórza Claudio Moyano – odmawiając z całym spokojem różaniec. Po zakończeniu zajęć wracał z paroma kolegami. Często schodził wzgórzem Moyano, gdzie znajdowały się stare budki antykwariatów – była to dobra

okazja do przeglądania i kupowania interesujących dzieł. Innym razem powtarzał poranną trasę i wykorzystywał spacer na rozmowę między innymi ze swoim przyjacielem Francisco José, który mieszkał przy ulicy Claudio Coello, mniej więcej na wysokości Maldonado. Zgodnie z tym, co opowiadał biskup Álvaro w 1990 roku, rozmawiał z nim dużo o religii, dlatego że chociaż tamten był bardzo dobrym chłopakiem, deklarował się jako agnostyk i Álvaro nie udało się go przekonać:

– Wymykał mi się – przyznawał Álvaro.

Będąc już w Rzymie nie przestał z nim korespondować i zawsze dopisywał: „Módl się za mnie”. W ostatnich listach wysłanych do prałata Álvaro, jego przyjaciel powtarzał: „Bądź spokojny – modlimy się za ciebie w tym domu”.

Umarł godnie, przyjąwszy święte sakramenty.

Po tragicznym przerywniku wojny domowej don Álvaro studiował ponownie z wielką intensywnością. Zgodnie ze specjalnymi planami obowiązującymi bezpośrednio po wojnie mógł zaliczyć trzeci i czwarty rok podczas roku akademickiego 1939-40, chociaż lata te obejmowały wiele przedmiotów, i zakończył studia w 1941 roku. Wstąpił do Korpusu Dróg, Kanałów i Portów i został skierowany do Komisariatu Ministerstwa Robót Publicznych w dorzecze rzeki Segura.

W rzeczywistości oznaczało to dla niego wielki wysiłek, dlatego że prace piętrzyły się przed nim. Czasami nawet nie miał fizycznie czasu, żeby chodzić na wszystkie zajęcia, i później uczył się we własnym zakresie. Inny inżynier drogownictwa Fernando Valenciano

opowiadał, że wówczas wykładowcą w Szkole Drogownictwa był bardzo wymagający nauczyciel. Nie dopuszczał do końcowego egzaminu studentów, którzy byli nieobecni na zajęciach trzykrotnie bez usprawiedliwienia – od razu ich oblewał. Álvaro znajdował się w takiej sytuacji, ponieważ był nieobecny o wiele więcej niż trzy razy, dlatego że musiał pomagać Założycielowi Opus Dei w niecierpiących zwłoki zadaniach. Jednakże poszedł porozmawiać z profesorem i, ku zaskoczeniu swoich kolegów, zdołał go przekonać, żeby go przeegzaminował. Niektórzy myśleli, że Álvaro nie zda. Jednakże było inaczej, dlatego że bardzo dobrze umiał ten przedmiot. Fernando Valenciano słyszał, jak Álvaro opowiadał tę anegdotę tylko raz czy dwa razy, i pamięta, że podsumowywał:

– Nie oznacza to, że nie należy chodzić na zajęcia. Ja nie chodziłem, bo nie mogłem.

Również w owych latach, i to niejedną raz, sam Założyciel oznajmiał tym, którzy mieszkali wówczas w ośrodku Dzieła znajdującym się u zbiegu ulic Diego de Leóna i Lagasca:

– Teraz nie przeszkadzajcie Álvaro, dlatego że w przyszłym tygodniu ma egzaminy.

I Álvaro poświęcał wiele godzin dziennie nauce odpowiedniego przedmiotu, przystępował do egzaminu i dostawał dobre oceny...

Przypomniał o tym w 1975 roku Vicente Mortes w czasopiśmie zawodowej korporacji inżynierów drogownictwa. Álvaro był obecny na spotkaniu kolegów zorganizowanym w październiku 1967 roku. Wykorzystując, że Álvaro spaceruje

po Madrycie postanowiono wręczyć mu odznaki Wielkiego Krzyża Św. Rajmunda z Penyafort, który mu wówczas przyznano. Antonio Inglés, najlepszy student z jego roku, skierował do niego kilka serdecznych słów. Álvaro poczuł się w obowiązku odpowiedzieć bardziej lub mniej formalnie. I opowiedział między innymi następującą historię:

– Kiedy byłem w szkole, wiele razy moi koledzy z roku dziwili się, dlaczego w poniedziałek przychodzę zmęczony i zasypiam na zajęciach. Powód był taki, że już wówczas wielokrotnie musiałem wyjeżdżać w sobotę, żeby poznawać hiszpańską geografię. Jechałem dwie noce, pracowałem całą niedzielę, żeby wrócić w poniedziałek i dotrzeć o tej godzinie, o której docierałem, choćby pan Bernardo de Granda się złościł.

W 1989 roku wspominał okazjnie z wielką sympatią innego ze swoich

nauczycieli ze Szkoły Drogownictwa, profesora Mendizábala. Miał on łatwość, która stała się niemal nawykiem, używania triady przymiotników do opisu. Mówił na przykład: „silny, potężny i smukły nit”. Kiedy Álvaro i José Luis Múzquiz zostali wyświęceni na kapłanów, napisał do nich list rozpoczynający się od słów: „Niezwykle umiłowani Koledzy, dawni Uczniowie i Kapłani...”

Álvaro był przyjacielem dla swoich kolegów. Roberto Gomá Pujada podkreśla, że w przykrym niekiedy klimacie czasów powojennych[19], „zwracał uwagę swoją pogodą ducha. Zawsze postrzegałem go jako uprzejmego i zrównoważonego człowieka”.

Po skończeniu studiów gorliwie korespondował ze swoimi kolegami. Spotykał się z nimi, kiedy było to możliwe. Interesował się wszystkimi,

nawet kiedy przez lata ich nie widział. Ricardo Castelo opisał swoje ostatnie spotkanie z Álvaro w styczniu 1994 roku. Ricardo został przyjęty do Kliniki Uniwersytetu Nawarry a prałat Álvaro przybył do Pampeluny, żeby przewodniczyć w charakterze Wielkiego Kanclerza Uniwersytetu ceremonii nadania nowych doktoratów *honoris causa*.

Ricardo oglądał uroczystość uniwersytecką za pośrednictwem wewnętrznej telewizji zainstalowanej w klinice. Zaraz potem powiedział lekarzowi, który się nim zajmował, o swoim pragnieniu rozmowy z biskupem Álvaro:

– Odpowiedział mi, że przekaże mu moje życzenie i myślałem, że może za dwa dni dostanę od niego jakąś notatkę z usprawiedliwieniem, zresztą zupełnie uzasadnionym.

Rzeczywiście był bardzo zajęty i chciało się z nim spotkać wiele osób.

Jednakże tego samego dnia po południu prąat Álvaro odwiedził go w klinice:

– Zrobiło na mnie wrażenie, że przybył tak szybko, w tak ciężkim dniu, jak ten, kiedy musiał być bardzo zmęczony, tylko po to, żeby pogadać ze starym kolegą.

Rozmowa była niezwykle serdeczna. Biskup Álvaro pytał go o innych uczniów ze szkoły, których nie widział od długiego czasu. Na koniec Ricardo ucałował biskupi pierścień a prąat Álvaro pocałował go w oba policzki mówiąc mu:

– Ty pożegnałeś się po hiszpańsku a ja się pożegnam po włosku.

Don Álvaro otrzymał dobre wykształcenie inżynierskie i miał wyraźne plany zawodowe.

Zrezygnował z tych oczywistych ludzkich pragnień, dlatego że odpowiedź na łaskę Bożą poprowadziła go na inne drogi. Jednakże zachował umiłowanie swojego cywilnego zawodu. I tak, kiedy zreformowano hiszpańskie prawodawstwo dotyczące szkół wyższych i wprowadzono doktorat w wyższych szkołach technicznych, uchwalono przejściowe przepisy dotyczące dawnych inżynierów. Biskup Álvaro skorzystał z tych przepisów będąc już w Rzymie i około 1965 roku zajął się prezentacją pewnego projektu – chodziło o modernizację metalowego mostu – uzyskując stopień doktora inżyniera.

Wiele lat wcześniej tytuł inżyniera spełnił dla Álvaro funkcję, jakiej nikt nie mógłby sobie wyobrazić. Opowiadał o tym Cesare Cavalleri, dyrektor mediolańskiego czasopisma *Studi Cattolici*, w dzienniku *Avvenire* 24 marca 1994 roku. Álvaro przybył

do Rzymu w 1943 roku, wysłany przez Założyciela Opus Dei, aby przedstawić Stolicy Świętej możliwość kanonicznej regulacji nowej instytucji. Miał 29 lat. Przybył na audiencję u Piusa XII w efektownym mundurze hiszpańskich inżynierów budownictwa lądowego i wodnego: granatowym ze złotymi guzikami i fioletową szarfą w pasie. Ta oznaka szacunku dla Papieża pokrywała również jego młodość i pokazywała całkowicie świecki charakter Dzieła. Podczas jazdy tramwajem usłyszał w przelocie rozmowę dwóch kobiet, nieświadomych, co znaczą te ozdoby:

– Popatrz, taki młody i już admirał.

Te galony objawiały wojskowe pochodzenie korpusów inżynierskich w służbie hiszpańskiej administracji publicznej. Kiedy wchodził do Watykanu przez *Portone di Bronzo* (Spiżową Bramę), gwardzista

szwajcarski na warcie poczuł się w obowiązku ustawić straż w szyku. Później, kaprał stanął przed nadchodzącą *władzą wojskową*, odpowiednio zasalutował i zdał mu *raport*. Álvaro, który nie tracił dobrego humoru w najbardziej napiętych okolicznościach, nie zaniepokoił się. Odpowiedział na salut, odbył przegląd plutonu straży i poszedł dalej, jakby było to najbardziej normalną rzeczą na świecie. Przypominał o tym parę razy w nieco żartobliwym tonie.

W miarę upływu lat, nawet kiedy poświęcał się tak różnym zadaniom, czasami na nowo ujawniała się jego profesja inżyniera drogownictwa. Kiedy przedstawiał przykłady robót publicznych lub zbiorników wodnych, kiedy żartował na temat *współczynników bezpieczeństwa* albo opowiadał o specyficznych aspektach swojego zawodu. Jego zasadnicze wykształcenie było widoczne w

uporządkowaniu i dokładności jego koncepcji i wypowiedzi, w jego nawykach umysłowych dobrze wpasowanych w głębię zachodniej kultury humanistycznej. Wkrótce zajmował się tym równie dogłębnie w ramach studiów humanistycznych i doktoratu z historii. Jak powiedział w 1994 roku Alejandro Llano, rektor Uniwersytetu Nawarry, „był żywą syntezą dwóch kultur: humanistycznej i technicznej. Był wielką postacią intelektualną i uniwersytecką”.

[1] Św. Augustyn, *Wyznania*, księga IV, IX, tłumaczył z języka łacińskiego, wstępem i komentarzem opatrzył Ks. dr Jan Czuj, Rektor Akademii Teologii Katolickiej, PAX, Warszawa 1955 (przyp. tłum.).

[2] Tytuł oryginalny *Apuntes sobre la vida del Fundador del Opus Dei*, wydanie polskie: Księgarnia Św. Jacka, Katowice 1991 (przyp. tłum.).

[3] Hiszpańskie zdrobnienie imienia Manuel (przyp. tłum.).

[4] Obecnie Uniwersytet Complutense (przyp. tłum.).

[5] *Diez* znaczy po hiszpańsku ‘dziesięć, dziesięciu’. *Diez de Sollano* czyli ‘dziesięciu z Sollano’ (przyp. tłum.).

[6] W języku polskim można by użyć na przykład wyrazu „Matuchna” (przyp. tłum.).

[7] Sługa Boży Eustaquio Nieto y Martín został zamordowany w 1936 r., wkrótce po rozpoczęciu wojny domowej w Hiszpanii przez siły republikańskie.

[8] Znany hiszpański lekarz. Żył w latach 1887-1960. (przyp.tłum.).

[9] Figura Najświętszej Maryi Panny z Pilar, Patronki Świata Hiszpańskiego, otaczana od wieków w Hiszpanii wielką czcią znajduje się w bazylice w Saragossie (Aragonia) (przyp. tłum.).

[10] Obowiązywał wówczas post naturalny od północy do chwili przyjęcia Komunii polegający na całkowitym powstrzymaniu się od pokarmów, napojów i lekarstw (przyp. tłum.).

[11] Jednej z królewskich rezydencji znajdujących się w Hiszpanii (przyp. tłum.).

[12] Hiszpański inżynier, konstruktor lotniczy i pilot (1893-1936). Wynalazł wiatrakowiec (autogiro, autożyro). Zginął w katastrofie lotniczej (przyp. tłum.).

[13] Rajmund Lullus (kat. Ramón Llull) (1232-1316), kataloński błogosławiony. Filozof, poeta i teolog. Zaangażowany w nawracanie muzułmanów. Zginął ukamienowany przez Saracenów. Przedstawiciel racjonalnego mistycyzmu potępionego przez Grzegorza XI i Pawła IV. *Blanquerna* (tytuł to imię głównego bohatera) to utopijna powieść napisana w latach 1283-1285, przedstawiająca wizję powszechnego *Pax Christiana* (przyp. tłum.).

[14] Jorge Manrique (1440?-1479), hiszpański poeta. Autor słynnego w Hiszpanii dzieła *Strofy ułożone na śmierć ojca swego* (*Coplas a la muerte de su padre*) (przyp. tłum.).

[15] Gustavo Adolfo Bécquer, właśc. Gustavo Adolfo Domínguez Bastida (1836-1870), hiszpański poeta i prozaik okresu romantyzmu (przyp. tłum.).

[16] Francisco Gómez de Quevedo y Santibáñez Villegas (1580-1645), pisarz hiszpański, Pedro Calderón de la Barca (1600-1681), poeta i dramaturg hiszpański. Wybitni twórcy hiszpańskiego Złotego Wieku (przyp. tłum.).

[17] Mowa o utworze *Owczę źródło* Félixa Lope de Vega y Carpio (1562-1635), wybitnego dramaturga hiszpańskiego. W polskim przekładzie tekstu autorstwa Ludwika Hieronima Morstina (Wrocław 1954), odnośny fragment przetłumaczony jest następująco: „Trzeba się umówić przódziej, co mamy mówić na śledztwie” (przyp. tłum.).

[18] Zdrobnienie od imienia José, czyli Józef (przyp. tłum.).

[19] Mowa o hiszpańskiej wojnie domowej 1936-1939 (przyp. tłum.).

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://
dev.opusdei.org/pl-pl/article/
wspomnienie-o-bp-alvaro-del-portillo/
\(06-08-2025\)](https://dev.opusdei.org/pl-pl/article/wspomnienie-o-bp-alvaro-del-portillo/)